

Świat otwiera drzwi, a my domy dziecka

Rozmowa Barbary Pietkiewicz z Tomaszem Polkowskim, Prezesem Fundacji Dziecko i Rodzina, która ukazała się w nr 25 tygodnika „Polityka” w dniu 17 czerwca 2015

Barbara Pietkiewicz: Przed 18 laty prowadziliśmy w „Polityce” kampanię „Zamknijmy domy dziecka”. Nikt oprócz Pana wtedy nie zgłaszał takiego postulatu. Ale domy dziecka pozostały, są nieśmiertelne. I oto słyszę, że w Gruzji wielkich sierocińców już nie ma.

Tomasz Polkowski: Na Węgrzech nie ma, w Słowacji, Bośni i Hercegowinie, w Czarnogórze. W Polsce są. Jesteśmy pod tym względem w Europie w towarzystwie Rosji i Białorusi potęgą.

BP: Choć wiadomo, że wychowywanie w dużych instytucjach pozarodzinnych uszkadza dzieci psychicznie i fizycznie. Ale wróćmy do Gruzji.

TP: Wszystko zaczęło się od tego, że w Tbilisi pracowała Polka Katarzyna Jarosiewicz-Wargan, która namówiła grupę kompetentnych działaczy do zobaczenia, jak w Polsce działają małe 14-osobowe domy dziecka, założone i prowadzone przez Towarzystwo Nasz Dom. W domach tych ogromną wagę przywiązuje się m. in. do relacji wychowawców z poszczególnymi dziećmi. Każdy wychowawca odpowiada szczególnie za kilkoro z nich. Tak jak w rodzinie odpowiedzialni są za swoje rodzice.

BP: Spodobało im się?

TP: Na tyle, że zostałem zaproszony do Gruzji, potem oni znów przyjechali. W delegacji brała udział osoba, która została później ministrem pracy. Zaletą systemu centralistycznego było, że minister zarządził – likwidujemy. I tak się stało. U nas musielibyśmy przeprowadzić reformę oddzielnie w każdym powiecie.

BP: Tak szast prast ten minister?

TP: Reforma trwała dwa lata. Najpierw bardzo wnikliwie zbadano zasadność pobytu dzieciaków w instytucjach. Za amerykańskie pieniądze przeanalizowano sytuację każdego wychowanka i jego rodziny. Polscy specjaliści za pieniądze z MSZ-owskiego programu „Polska pomoc” zbadali dzieci z sierocińców w jednym z gruzińskich miast. Dostaliśmy na początek 12 najtrudniejszych przypadków. Gruzini powiedzieli nam, jakby powiedziano w Polsce: dajcie sobie spokój z tymi dziećmi. Ich rodzice nie umieją wychowywać, piją i mają w domach brudno.

BP: Pewnie, brudno i bałagan to u nas ważny powód zabierania dzieci.

TP: Okazało się, że spośród tej dwunastki troje są do natychmiastowej reintegracji. Spakowaliśmy dzieci i wysłaliśmy do domu. Trzy przypadki – beznadziejne, bo rodziców nie można było odnaleźć, więc dzieci na razie zostały, a sześciu rodzinom trzeba było pomóc i dzieci do nich wróciły.

BP: Udzielono także pomocy finansowej?

TP: Na mocy przepisów, których bardzo im zazdroścę i którym przygląda się teraz cały świat, ustalono fundusz reintegracyjny dla rodziców. Jeśli spełniają określone warunki dostają pieniądze, np. na remont mieszkania, a potem przez 6 miesięcy fundusze na wprowadzenie ich dziecka zabranego z sierocińca ponownie do społeczności – kupienie ubrania, pomocy szkolnych itp.

BP: Kto to wszystko robił?

TP: Międzynarodowe organizacje pomocowe razem z przeszkolonymi Gruzynami przystąpiły do pracy z rodzicami, inne do szkolenia pracowników socjalnych, inne do organizowania pobytu dziennego dla dzieci, czegoś w rodzaju świetlic. A jeszcze inne do szkolenia rodzin, które miały zostać zastępczymi. My opracowaliśmy system szkoleń dla wychowawców.

BP: A domy dziecka?

TP: Zamknięto. Zostały trzy dla bardzo upośledzonych dzieci i kilkanaście 10-osobowych z programem odpowiedzialności wychowawcy za rozwój kilkorga dzieci i za kontakty z rodzicami biologicznymi.

BP: A te małe 10-osobowe nadal będą czynne?

TP: Będą powoli zamykane, bo nie będzie do nich kandydatów. Zrobiono prawdziwą reformę w biednym kraju. W Rumunii też.

BP: Przecież tam były te straszne sierocińce opisywane w światowych mediach.

TP: Ale to sprawiło, że znalazły się ogromne pieniądze. Przy pomocy światowych organizacji pomocowych przeprowadzono w Rumunii reformę podobną do gruzińskiej.

BP: Gdybyśmy nawet też dostali na to pieniądze, pewnie nic by z tego nie wyszło. Domy dziecka są potrzebne, bo to etatowe miejsca pracy dla armii ludzi. Z wiejskich domów dziecka żyją całe rodziny w tych wsiach.

TP: Nasz kraj uchodzi teraz za taki, który mało sobie robi z zaleceń i rad europejskich organizacji, które postulują zamykanie dużych instytucji wychowawczych i leczniczych i tworzenie w ich miejsce usług na bazie społeczności lokalnych, jak się to teraz w Europie nazywa. A co do pieniędzy: Polska nie starała się zbytnio o fundusze na przekształcanie opieki instytucjonalnej na system rodzicielstwa zastępczego. Organizacje w Brukseli, które się w tym specjalizują, bardziej naciskały w tej sprawie na Europarlament niż nasz rząd.

BP: W Gruzji się powiodło, bo im zależało?

TP: Zależało bardzo. U nas brakuje decydentów, którym naprawdę leży to na sercu. W Sejmie są zaledwie 2-3 osoby naprawdę zainteresowane tematem. Powodem tego może być też fakt, że po transformacji nie skorzystaliśmy z doświadczeń zagranicznych. Ktoś na świecie już wtedy otworzył te drzwi.

BP: Przekraczało to nasze siły?

TP: W Polsce nigdy nie działały wielkie zagraniczne organizacje, które miały już ogromne doświadczenie w przekształcaniu systemu, takie jak amerykańska Save the Children, która świetnie spisała się w Gruzji, nie było u nas dużych programów UNICEF-u, nie działała angielska Every Child. Korzystaliśmy z doświadczeń własnych, a nasze własne, poradzieckie, to duże koszarowe domy dziecka.

BP: Ileż ja przeczytałam prac naukowych o zaletach wychowania zespołowego według wskazań radzieckiego pedagoga Makarenki.

TP: Zmienić obowiązujące przez dekady przyzwyczajenia decydentów, pracowników, ludzi nauki, jest bardzo trudno. Możemy podać przykłady wielu wychowanków domów, którzy osiągnęli sukces - mówią zwolennicy status quo. Niedawno „Gazeta Wyborcza” pisała na temat nowego domu dziecka dla dzieci z Krakowa, zbudowanego 100 km od tego miasta. Czego tam nie ma – basen kąpielowy, rozmaite pracownie, cuda niewiady. Przejrzałem stronę katolickiej organizacji, która ten dom powołała do życia, powodowana z pewnością dobrymi intencjami. Nie było na niej słowa o rodzinach biologicznych wychowanków.

BP: Podobno otwierając ten dom Donald Tusk powiedział, że to przykład dla całej Europy?

TP: Luksusowy sierociniec jako wzór dla Europy? Śmieszne. W Europie trwa wielka kampania promująca odchodzenie od wielkich instytucji. Dzieci powinny chodzić na basen z rodzicami, a nie kąpać się o 100 km od rodzinnego domu w sierocińcowym, choćby on był wyłożony złotymi kafelkami.

BP: Ile jest teraz domów dziecka?

TP: Było 450, a teraz ponad 1000. W ustawie o pomocy rodzinie i opiece zastępczej wymaga się, żeby dom dziecka liczył nie więcej niż 14 wychowanków.

BP: I duże domy poradziły sobie z ustawą przez pączkowanie?

TP: Podzielono duże domy ściankami działowymi i zamontowano nowe drzwi wejściowe i w ten sposób z jednego dużego tworzy się np. cztery.

BP: I są etaty dla 4 dyrektorów, zamiast jednego.

TP: Niekoniecznie. Tworzy się centra administracyjne dla wszystkich małych domów w mieście (jak np. we Wrocławiu). Kieruje nimi jeden dyrektor. Korzystają one z zamówień publicznych, więc dzieci nie uczestniczą w zakupach, bo trzeba robić przetargi na żywność.

BP: Catering?

TP: Też bywa. A chodziło o to, żeby nie było wielkich koszarowych kuchni. Teraz gotowe jedzenie jest przywożone z zewnątrz. Cała energia systemu idzie na wprowadzanie zmian pozorowanych. Co to za różnica, czy dzieci mieszkają w jednym wielkim budynku, czy w tym samym, podzielonym na części.

BP: Niż demograficzny nie szkodzi domom dziecka? Zawsze jest w nich w okolicach 20 tys. dzieci

TP: Jest dużo więcej. Sądzę, że około 50 tysięcy. Wiele domów ma różne szyldy i nie podlega ministrowi pracy, a edukacji. Np. specjalne ośrodki wychowawcze, których część prowadzona jest przez instytucje kościelne, w tym zakony.

BP: Czy ktoś sprawdza zasadność trzymania tej rzeszy w instytucjach?

TP: Co pół roku bada to specjalny zespół, ale są to też działania pozorowane. Sprowadzają się w gruncie rzeczy do pasywnego opisu rzeczywistości. Kontakt z rodziną jest? Nie ma. Chodzi do szkoły? Wagaruje. To niech zostanie. Albo pošlijmy go do ośrodka wychowawczego. Następnym razem proszę.

BP: Luksusowy sierociniec dla Krakowa to nie jeden przypadek. Buduje się wciąż nowe.

TP: Nowa ustawa przewiduje tworzenie 45-osobowych ośrodków dla dzieci szczególnie zaburzonych. Każde województwo stara się taki ośrodek utworzyć.

BP: I znów – dom dziecka de facto. Jak w zaklętym kręgu.

TP: Duże domy dziecka mają zniknąć do 2020 r. Ale przyjedzie nowa ekipa i powie, że to niemożliwe, więc termin trzeba przedłużyć. Albo dać temu i owemu dużemu domowi na jakiś czas pozwolenie na zachowanie stanu jaki jest. I wszystko rozlezie się w szwach.

BP: Z raportu NIK wynika, że ogromny odsetek wychowanków domów dziecka po opuszczeniu domów pozostaje na garnuszku opieki społecznej, nie radzi sobie w życiu, trafia do przytułków, na dworce kolejowe, do zakładów karnych. Sami wychowawcy mają często przeświadczenie, że ich ciężka praca nie przynosi efektów, jakie by chcieli.

TP: A przecież znam wychowawców, którzy mają na punkcie pracy z dziećmi świra. Poświęcają cały swój czas także po pracy, przejmują się, jeżdżą, załatwiają dla dzieciaków co się da. Ale to nie jest norma. Pozostali patrzą na to z pobłażaniem, albo z narastającą złością. Ale np. w Gdyni zebrała się grupa pasjonatów, która doprowadziła do zlikwidowania molochów. W 1997 r. powstał pierwszy 14-osobowy dom dziecka. Teraz mamy ich około setki. Obejmują jedną czwartą dzieci. Reszta mieszka nadal w molochach, albo w molochach podzielonych ścianami. W 2000 roku Towarzystwo Nasz Dom wprowadziło szkolenie dla rodzin zastępczych. Dziś już nikt sobie nie wyobraża, żeby oddać dziecko rodzinie nieprzeszkolonej. Coś się więc zmienia na lepsze. W Wołominie np. tworzy się i szkoli rodziny zastępcze, działają grupy wsparcia dla tych rodzin i osobna dla mężczyzn.

BP: Bo znów dobrali się pasjonaci?

TP: Np. pan Burakowski, szef Centrum Pomocy Rodzinie, pan Rakoczy, trener rodzin zastępczych. Siedzi sobie ten Wołomin cicho pod Warszawą, a powinien się chwalić, bo ma czym. Są w Polsce dobre wyspy. Ale tylko wyspy.

BP: Coś w końcu dobrego musieliście Gruzinom pokazać, że się im tak spodobało?

TP: Zmiany są bardzo powolne. I bardzo polskie, bo ludzie, którzy w tym ruchu reformatorskim działają, konkurują między sobą, podgryzają się wzajemnie, zamiast współpracować.

BP: Nie jest pan już prezesem Towarzystwa Nasz Dom?

TP: Nie, walne zebranie składające się z wychowawców domów dla dzieci powołało Zarząd, do którego weszli dyrektorzy tych domów. Ja założyłem z grupą specjalistów i sympatyków

Fundację Dziecko i Rodzina. Będziemy zajmowali się tą samą tematyką, ale w znacznie szerszym zakresie. Współpracujemy z Rzecznikiem Praw Dziecka przy opracowaniu standardów domów dziecka i propozycji nowych rozwiązań dotyczących usamodzielnienia wychowanków instytucji opiekuńczych. To też bardzo zaniedbana sprawa. Skoro już domy dziecka muszą być, niech przynajmniej mają te standardy lepsze.

BP: Dziękuję za rozmowę.